B.U. im. L. W. w Łodzi

Józef Robakowski laureatem nagrody „Odgłosów" str. 12

Prawica polska atakuje str. 5

Nie wszyscy wiedzą za co siedzą str. 7

Kleopatra to jest to - dla mężczyzn str. 11

Foto: Konrad Turkowski

Kaszpirowski story (1)

czytaj str. 6

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 20 (1677) ROK XXXIII 20 MAJA 1990 ROKU CENA 1000 ZŁ

Rys. Dariusz Romanowicz

AM 2929: — Wartość życia pojmie, kto oceni różnicę — co dać może życie, a co można stracić w nim bezpowrotnie.

Mój Katyń, czyli ostatnia dedykacja

EWA OSTROWSKA

Rys. Janusz Szymański-Glanc

1.

Jest Wielki Piątek, trzynastego kwietnia, dzień bolejącej Madre Dolorosa. Jeszcze sporo słońca, lecz krzyże rzucają już coraz dłuższe cienie. Cisza, ta szczególna, jaka towarzyszy tylko cmentarzom, nie zakłóca jej nawet zwariowany świergot ptaków. Wracam od matki. Za plecami kroki rozmowa, początkowo strzępkami słów, aż zamienia się w same zdania wykrzyknikowe:

— *Ja za Katyń piętnaście tysięcy rusków pod ścianę i bach, bach!* — głos męski.

— *A ja ich wszystkich, jak pluskwy!* — głos kobiety.

Słońce na krzyżach, smużące się cienie, wiosenne kwiaty na mogiłach świeżo uprzątniętych przed świętem Zmartwychwstania Tego, co na krzyżu dla nas i za nas. I ten malowany ptak nienawiści nad tymi, którzy już proszą tylko o spoczynek wieczny. Odwracam się: młoda kobieta i młody mężczyzna prowadzą za rączkę między sobą siedmio-, ośmioletniego chłopczyka.

„Tragedia zbrodni zawsze pozostaje z żywymi. Tego dramatu nie można rozbić w pył na żadnym polu bitewnym, zbombardować w miastach, zamknąć w obozach koncentracyjnych. Ten dramat noszą w sobie wszyscy, którzy przetrwali zbrodnię, zarówno zwycięzcy, jak i zwyciężeni. Jest esencją nienawiści": Jerzy Kosiński, „Malowany ptak".

Dla tych dwojga — czy już aż trojga? — esencją ich nienawiści jest słowo: *Katyń*. Nie wiem, co mają z tym słowem — poza nienawiścią — wspólnego. Może nic. Pewno nic. Bo nawet: jeśli mają — to nie jest ich własne słowo, są na nie za młodzi. Mogło ono im być przekazane dziedzictwem, mogło być im narzucone.

2.

O Katyniu pisze się ostatnio na łamach gazet, mówi w radiu, w telewizji, wprost od ołtarzy na kazaniach. Dużo i często. Katyń wyłonił się z przeszłości, wkroczył w teraźniejszość, stał się obecny na co dzień. Pojawił się w prywatnych mieszkaniach i w maglach. I na murach: *„Za Katyń do gazu!"*. Reportaże z pielgrzymek, wywiady z członkami Rodziny Katyńskiej, filmy, dokumenty, przedruki wspomnień. I zapowiadana przez Marię Nurowską w wywiadzie radiowym powieść o Katyniu: zakochana kobieta podąża w ślad za swoim ukochanym aż do Kozielska. Bernard Ładysz śpiewający piosenkę o Lesie Katyńskim. Katyń za honoraria i tantiemy. I wyrzucony na stragany, w zalew broszur o *„Szponach NKWD"*, beletrystyki o martyrologii, tej prawdziwej, i tej obliczonej cynicznie na popyt. Między szpalty wywiadów z tymi, co to nigdy pod żadnym pozorem nie byli za, zawsze przeciw, a jeśli bili brawa, to tylko bezdźwięcznie, a jeżeli należeli, to pod przymusem karabinów.

— *Zapisałaś się, oczywiście, do Rodziny Katyńskiej?* — zapytała mnie bardzo głośno znajoma w trakcie towarzyskiego przyjęcia, starając się w ten sposób nadać poziom rozmowie. Towarzystwo przycichło taktownie, po czym jeden z panów zauważył.

— *Teraz, gdy Sowiety uznały Katyń oficjalnie, muszą bulić.*

Znajoma spojrzała na mnie znacząco:

— *Ciekawe, ile dostaniesz?* — zapytała. Na co kolejny z panów zadowcipkował:

— *Przy naszej inflacji i na malucha nie starczy, cha, cha!*

Więc Katyń: szlagier towarzyski, Katyń: nobilitacja — mieć kogoś w Katyniu bliskiego, znaczy rodowodem się-

4

ANDRZEJ OSTOJA-OWSIANY: — Staralibyśmy się, aby Polska szybko, możliwie szybko stanęła na nogi!

Nie odczuwam potrzeby posiadania wroga

Rozmowa z ANDRZEJEM OSTOJA-OWSIANYM — członkiem Rady Politycznej i przewodniczącym Sądu Konfederacji Polski Niepodległej, kandydatem na radnego z listy Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego.

— W Łodzi w wyborach do Parlamentu w czerwcu 1989 roku uczestniczyło 3 członków KPN. Nikt nie został wybrany. A ilu członków KPN kandydowało w Polsce?

— Jeśli dobrze pamiętam — 47 osób. I nikt z naszej listy nie przeszedł.

— Czy potraktowaliście to jako porażkę?

— Nie. Założyliśmy świadomie, że choć nie mamy szans, to możemy sprawdzić wielkość społecznego poparcia. Wiedzieliśmy wówczas, jaka była nasza sytuacja. Informacje o KPN pochodziły albo od rzecznika rządu Jerzego Urbana, albo z wrogo do nas nastawionych środków masowego przekazu. KPN przedstawiano wówczas jako faszystów, bojówkarzy, ludzi groźnych dla panującego porządku społecznego. Myśmy nie mieli szans, aby na te zarzuty odpowiadać. Również w „Odgłosach" redaktor naczelny odmówił nam prawa działania, twierdząc, że jesteśmy partią nielegalną, a że to nieprawda, nie muszę dziś wyjaśniać.

— I jak wypadł ten sprawdzian?

— Przeciętnie w kraju zyskaliśmy 5,8 procent głosów. To było bardzo dużo.

— W wyborach do samorządu terytorialnego na liście Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego jest 15 kandydatów z KPN. Jest to przejaw większej siły KPN, czy układów panujących w ŁPO?

— Jest to wynik jednego i drugiego. Trudno bowiem powiedzieć, że społeczeństwo ma już wpływ na proces wysuwania kandydatów z poszczególnych partii politycznych.

— Czy to znaczy, że jesteście najsilniejszą partią w ŁPO?

— Nie. W mieście są dwie najsilniejsze partie: KPN i Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. I to znalazło odbicie wśród kandydatów. Po 15 z KPN i ZChN.

3

Mój Katyń, czyli ostatnia dedykacja

ze str. 1

gać tej nadzwyczajnej, prawdziwej inteligencji. Katyń: hasło wplecione w nasz korowód polskiego „Wesela", w korowód autentycznych męczenników i zbłaźnionych błaznów, cierpiących apostołów i sprzedajnych judaszy. Katyń hasło dla demagogicznych mówców, szukających taniego poklasku. Tu czerwoni, ja ich w pysk, a tu zemsta za Katyń. Skrótowo — igrzyskowo. Zapominając o martyrologii tego słowa. Zapominając, że to słowo jest tak umęczone i tak tragiczne. Że Katyń to zbrodnia. I że Katyń to dramat. Dramat narodu, sponiewieranego, okrwawionego przez wojnę. Dramat tysięcy rodzin, które straciły w tej zbrodni swoich najbliższych. Co wie młoda rodzina polska Anno Domini 90 o samej zbrodni i istocie jej dramatu? Jaka jest wiedza przeciętnego Polaka? Czy ta ze straganów i murów? Z malowanym ptakiem w tle.

3.

Bohater Jerzego Kosińskiego, Chłopiec z „Malowanego ptaka", jest starszy ode mnie o lat sześć, lecz mimo różnicy wieku wywodzimy się — i ja, i on — z tego samego pokolenia: dzieci wojny. On przeżył ją jako żydowskie dziecko z *„dużego, wschodnioeuropejskiego miasta"*; ja — jako polska dziewczynka z małej, wschodnioeuropejskiej mieściny: Landwarowa pod Wilnem. Mój polski los stwarzał dla mnie większe szanse na fizyczne ocalenie. Jasnowłosą, jasnooką i piegowatą zbrodnia wojny nie wpisała na listy totalnej eksterminacji, dawała nawet szansę na germanizację lub rusyfikację. Chłopiec takiej szansy nie posiadał. A mimo to uważam, że on właśnie, ten żydowski Chłopiec, naznaczony stygmatem śmierci za samą przynależność do ściganego przez śmierć narodu, posiadał nade mną, polską dziewczynką, nieporównywalnie większą szansę ocalenia. Ocalenia moralnego. To ja — nie on — powinnam wyjść ze zbrodni wojny przepełniona *„straszliwą trucizną nienawiści, która daje cel w życiu, a zatem pomaga przetrwać"*. I to mnie — nie jemu — powinna być obca *„wszelka litość"*. To ja powinnam nosić w sobie *„własną odmianę sprawiedliwości"* i *„według własnego osądu wymierzać wszystkim karę"*. To dla mnie świat już na zawsze powinien być *„zapomnianym bunkrem, w którym mordują się szczury bez nadziei ucieczki"*, i to ja powinnam wejść w swoje dorosłe życie z esencją nienawiści w sercu i pragnieniem odwetu i zemsty w sumieniu. Dlatego tak, że on, Chłopiec z „Malowanego ptaka", miał nade mną sześć lat przewagi: sześć lat pierwszego dzieciństwa, tego najczulszego w pamięci; bo przeżył je pod spokojnym dachem, w normalnej rodzinie i pod czystym, bezpiecznym niebem. Przez sześć lat zasypiał wśród swoich zabawek, w swoim dziecinnym łóżku, z pieszczotą matki na dobranoc.

Moją najpierwszą pamięć od razu kształtowała zbrodnia wojny. W chwili wybuchu liczyłam niecałe dziewięć miesięcy, rosłam wraz z hukiem frontów, strzałami, krzykami ludzi. Moje dzieciństwo w ogóle nie wiedziało, co to jest spokojny dach lub bezpieczne, czyste niebo. Słowo śmierć poznawałam razem ze słowem: *mama*. Tak było. Śmierć jako wartość stała od najwcześniejszego pamiętania. Śmierć czyhająca dzień i noc. Za węgłem. Za drzewem w pobliskim lesie. Na drodze. W rozmowach dorosłych. W strzałach. W bombach. W krokach. W szmerach. W ptakach na niebie, które nie były wcale ptakami.

Miałam pięć lat, leżałam chora na odrę, kiedy w jasny, pogodny dzień trzy powracające samoloty ze swastykami zrzuciły na landwarowski dom mojej babci sześć bomb: ciało matki na moim, osłaniające mnie przed walącym się sufitem. Ocaleliśmy, przypadek to sprawił, cud, tak się zdarza; ostatnią, najcelniejszą, szóstą bombę rozbrajano potem na podwórzu: ta jedna, która powinna była przynieść śmierć nam wszystkim, nie wybuchła. Pamięć: dłoń matki na moich oczach, iloletnich wtedy? nie pamiętam, cztero? pięcio?, ale już świadomych i zapamiętujących na zawsze: odęte trupy ludzkie, spływające z falą Willi.

— *Nie patrz! nie patrz!* — krzyk matki.

I ja sama wreszcie, już sześcioletnia, pamiętająca aż do dziś tak dokładnie, że mogę w każdej chwili przymknąć oczy i znowu znaleźć się na landwarowskim podwórku oko w oko ze śmiercią, odtworzyć precyzyjnie siebie, w błękitnej sukience z falbaneczką wokół szyi i wokół spódniczki, z miauczącym kotkiem w ramionach, bo po niego uciekłam ze schronu, po swego kotka. Sześcioletnia dziewczynka nie musiała wcale mieć czarnych włosów, czarnych oczu, śniadej cery jak Chłopiec z „Malowanego ptaka", aby sprowokować zbrodnię, pewno była jedynym żywym celem na drodze odwrotu niemieckich ciężarówek, naładowanych żołnierzami; zdumiewającym, żywym celem, błękit sukienki z falbankami i kotek w ramionach. To, co potoczyło się, ciśnięte z ciężarówki, przez zieloną darń podwórza wprost pod moje nogi nie było ani jabłkiem, ani bochenkiem chleba. Ja, sześcioletnia, wiedziałam co to jest. Oni tam, na ciężarówkach, przyhamowanych pośród piaszczystej drogi, zwanej ulicą Wiejską, też wiedzieli, że nie rzucili we mnie ani jabłkiem, ani chlebem. Czekali razem ze mną. Ale wybuch nie nastąpił. Tak też się zdarza. I wówczas błysk, może słońca refleks na lufie unoszonej do celu; i ruch ręki drugiego żołnierza, który podbił dłoń strzelającemu. Kula poszła wyżej, między gałęzie jarzębiny i między oczy Matki Boskiej Ostrobramskiej. Jej święty obraz moja babcia ustawiła na drzewie, aby nas chronił i ocalał. Ruch ręki, dzięki któremu żyję, towarzyszy mi dotąd. Taki mały ruch. Gest. Gościk. Wiele razy zastanawiałam się, czemu go zawdzięczam? Czy człowiek, który przeszkodził zbrodni, był już nią znużony? Już zmęczyła go ona, już jej nie chciał? Ten gest — to znużenie czy litość? A może i jedno, i drugie? Jakiekolwiek nie byłyby przyczyny, nie czuję za ten gest wdzięczności. Ale nie czuję też i nienawiści do tego, który strzelał, ani do tego, który rzucił granatem jak jabłkiem w błękit mojej sukienki. W moje dziecinne pamiętanie, obok obrazu zbrodni, wpisały się modlitwy najbliższych, zanoszone przed ten — później przestrzelony — święty obraz. Bóg moich landwarowskich dziadków nie był mściwy, był cierpiący, bo jako człowiek został przez człowieka ukrzyżowany, a jako Bóg nie łaknął za swój krzyż nienawiści na oprawcach. Wśród refrenu nowenny: — *Zmiłuj się, Panie* — nie wołano w moim landwarowskim domu: *Zabij ich, Panie, spal ich, Panie, za granat, za kulę, za połamane podczas tortur ręce mojej ciotki, lekarki-chirurga, za bomby, za trupy płynące Wilią, za łzy, za rozpacz, za cierpienie, pozwól nam doczekać radości zemsty, na Niemcach i na Sowietach, Panie!*

4.

Wrzesień '39 zastał moją matkę ze mną, ośmiomiesięczną, u rodziców mego ojca, w Głębokim. Ostatni list od ojca, jak zresztą wszystkie z tego ostatniego lata '39, pisane ze Śląska, spod Katowic, gdzie ojciec, inżynier triangulator i mierniczy przysięgły kierował pomiarami dla Wojskowego Instytutu Geograficznego w Warszawie, były adresowane: Irena Ospalec-Ostrowska, Głębokie, skr. pocz. 58. Matka nigdy nie potrafiła mi odpowiedzieć na pytanie, dlaczego z chwilą wybuchu wojny zapakowała mnie w becik i uciekła od teściów do Landwarowa. Ta ucieczka uchroniła nas obie przed innym losem polskim: wywózką.

„Do pani Ostrowskiej, żony p. Ferdynanda, syna Kazimierza Ostrowskiego" — list z 1943 r., pisany niewprawną ręką, pełen błędów ortograficznych, wysłany nie pocztą, lecz przez zaufanego posłańca.

„Szanowna Pani. Jesteśmy dzierżawcami pańskiej ziemi położonej folwark Rozpaszka od 1934 r. Ponieważ rodzice Państwa Kazimierz Ostrowski z żoną zamieszkałe w Głębokiem zostali wywiezieni przez bolszewików"....

Od ludzi, którzy ten transport przeżyli, pocztą ustną, tysiącklometrową, dzielącą Syberię od Landwarowa przyszła inna wiadomość: Kazimierz Ostrowski zmarł podczas transportu, jego ciało jak setki innych ciał wyrzucono z pociągu. A co z moją drugą babcią?

„POLSKA KOMISJA STRAT. Oflag VII A.L. dz./Tbg. Nr 1446/43. Murnau Obbay. J.W.Pani Irena Ospalec-Ostrowska, Landwarów k/Wilna. W związku z naszymi staraniami o wiadomości odnośnie losu Męża W.Pani, Ferdynanda Ospalec-Ostrowskiego donosimy uprzejmie, że od informatora naszego otrzymaliśmy obecnie wiadomość, według której potwierdza się niestety fakt pobytu wymienionego w Kozielsku, dalsze losy nieznane. Jednocześnie zakomunikowano nam, że w Teheranie przebywa Stanisława Ospalec-Ostrowska, ur. 1.I.1888 r. w Głębokie, pow. Dzisna. Nie będąc pewnymi, czy osoba ma ta coś wspólnego z rodziną W.Pani — podajemy wiadomość dla porządku z uwagi na wspólność nazwiska. Widziałem! dn. 14.9.1943 r. KORYCKI Józef, Płk. i Główny Mąż Zaufania Obozu".

Stanisława Ospalec-Ostrowska miała *„coś wspólnego"*, to właśnie matka mego ojca. Ślad po niej kończył się w Teheranie; żadnych innych nie udało się odnaleźć, ani gdzie umarła, ani gdzie ją pochowano. Ślad za to mego ojca był wyraźny, prowadził prosto do Kozielska. Ale jaką drogę przebył mój ojciec ze Śląska, nim dostał się do sowieckiej niewoli, nie wiadomo. Że jest w Kozielsku matka wiedziała nieomal od początku; od znajomych, od przyjaciół, nigdy ani jednego listu z Kozielska od ojca nie otrzymała. Natomiast sama je pisywała rozpaczliwie, napisz choć słowo, że jesteś, że żyjesz. Te pierwsze listy matki do Kozielska nie wracały; te z kwietnia i maja i jeszcze późniejsze powracały z adnotacją: *„Adresat wyjechał"*. I te ostatnie, powracające, z szyderczą adnotacją, *że wyjechał*, dopiero one dawały mojej matce szaloną, dziękczynną nadzieję: *wyjechał* stamtąd, więc żyje!

W 1943 r. miałam aż cztery lata, pamiętam więc dokładnie jakby taneczny piruet matki, w którym osuwała się na podłogę, i krzyk babci, biegnącej na pomoc. Pocztowa kartka z niemieckiego oflagu od brata matki zawierała wiadomość, że ojca zamordowali bolszewicy w Koziej Górze. Potem były niemieckie „gadzinówki" z listami zidentyfikowanych. I pośród nazwisk nazwisko ojca. Wbrew oczywistości faktów, matka nie przyjmowała do świadomości, że ojca nie ma wśród żywych. I szukała stale, do samego końca wojny, i potem też, przez znajomych, znajomych znajomych, przez Polski i Międzynarodowy Czerwony Krzyż; wszystkim pokazując jako dowód owe listy, które powróciły z Kozielska z adnotacją: *„adresat wyjechał"*.

—*Módlmy się, on żyje. Twój tatuś żyje, rozumiesz, żyje!*

W 1946 r. otrzymała pismo z Czerwonego Krzyża definitywnie odmawiające dalszych poszukiwań. Stwierdzono z całą pewnością, że *„mąż pani, inżynier-triangulator Ferdynand Ospalec-Ostrowski figuruje w spisach wojskowych polskich ekshumowanych w Koziej Górze pod Smoleńskiem, a zwłoki jego przeniesione zostały na specjalny cmentarz w Koziej Górze"*.

W 1952 r. „Głos Ameryki" nadawał sprawozdania z tzw. Procesu Katyńskiego. Jakiś mężczyzna, nie podając nazwiska, w masce na twarzy, składał relację z Katynia i ze swego ocalenia. Anonimowość ze względu na rodzinę w kraju, żonę i córkę. Wtedy po raz drugi patrzyłam na taneczny piruet mojej matki, osuwającej się na podłogę. Potem kazała mi się modlić. — *To twój ojciec* — powiedziała — *przeżył. Wiedziałam cały czas, że przeżyje.*

5.

— *Więc za babcię i dziadka, i za ojca każń, zemsty radość daj Panie!* — Powinnam dziś, pięćdziesięcioletnia spalać się w ogniu nienawiści. Dlaczego on we mnie nie płonie? Ludzie mi najbliżsi korzystali przecież z tego słowa: *nienawiść*. Uznawali wrogość mundurów. Wróg był ubrany w mundur albo niemiecki, albo sowiecki. Wroga nie kocha się, wroga się nienawidzi. Gdyby było w tamtym czasie inaczej, byłoby nienormalnie. Ale wynędzniałych kobiet z wynędzniałymi dziećmi, żebrzących wrogą, nienawistną mową niemiecką na stacjach i stacyjkach, na których nasz repatriancki pociąg stawał długimi godzinami w 1945, ani moja babka, ani ciotka z połamanymi rękami, ani moja matka nie umiały nienawidzić. Nawet za tę kulę, która zamiast trafić mnie, trafiła święty obraz. Za nic. I zamiast kamienia—nienawiści, kawałek chleba, którego było tak mało i dla nas w tym transporcie o niepewnej ciągle stacji końcowej; i miska „krupek" czyli kaszy albo po prostu zboża. W liceum, gdy zapisałam się do ZMP, matka uderzyła mnie w twarz. — *To zdrada* — powiedziała. Więc zaczęłam krzyczeć, że pamiętam świetnie ją, wdowę po zamordowanym przez bolszewików ojcu, bandażującą rany trzem ruskim żołnierzom, którzy w 1944 weszli na nasze landwarowskie podwórko napić się wody. — *Jakaś ty głupia* — odpowiedziała matka — *obok nienawiści zostaje jeszcze wiele miejsca, choćby na litość.*

Chłopiec z „Malowanego ptaka" nie zna tego moralnego pojęcia: *litość*. Jerzy Kosiński pozbawił go nie tylko wiary „w charyzmatyczną moc religii". Wrzucił swego sześcioletniego Chłopca w wojenną zbrodnię bez żadnych wspomnień o czasie pokoju. Jego Chłopiec to tabula rasa, czysta karta, nie zapisana przez sześcioletnie dzieciństwo jakimikolwiek uczuciami, ideami, zasadami wrodzonymi lub nauczonymi. Chłopiec ani razu ani nie woła, ani nie wzdycha do swego Boga; nie przywołuje też matki ani na pomoc, ani we śnie; jego rodzice są bez twarzy, dwa anonimy, nic ponadto. Jakby ich w ogóle nie miał. Chłopiec Jerzego Kosińskiego jest wyposażony wyłącznie w instynkt, właściwy zwierzętom, instynkt przetrwania i walki o przetrwanie. Łatwo posługując się takim tworzywem przeprowadzić dowód na świat, który *„jest bunkrem wypełnionym mordującymi się szczurami"*, a *„nienawiść nie może umrzeć: jadowita i żywotna jak samo życie, idzie śladem życia, jest jego częścią, jak ogon jest częścią komety"*. Ale Chłopiec Jerzego Kosińskiego jest postacią literacką, symbolizującą zło; mój los jest losem żywym, przeżytym naprawdę, a życie mimo że w swoich postaciach zbrodni potrafi przewyższać okrucieństwo literackich fikcji i symboli, niesie ze sobą także i — a może przede wszystkim — możliwość ocalenia moralnego. Obok nienawiści, jak to powiedziała mi kiedyś matka, jest cały rozległy obszar na inne ludzkie uczucia, na litość także.

Katyń, który zamordował mi ojca, Katyń, miejsce kaźni innych ojców, idzie śladem mego życia krok w krok, od wczesnego dzieciństwa po lata dojrzałe i dziś już razem ze mną wkracza w moją własną smugę cienia. Ode mnie, od mego stosunku do świata, do ludzi, od mojej etyki, od wyznawanego przeze mnie dekalogu moralnych zasad i idei zależy, jaką przyjmę postawę. Odrzucam nienawiść, nie pragnę odwetu. Głęboko wierząc, że mój ojciec, gdyby mógł przemówić, powiedziałby to samo.

6.

Mój ojciec — Katyń — nr AM 2929. Urodzony 1907 roku w Kucharach na Ziemi Kijowskiej. Absolwent Wydziału Geodezyjnego Politechniki Warszawskiej, którą ukończył i ostateczny egzamin dyplomowy złożył z wynikiem bardzo dobrym. Porucznik. Zastrzelony w tył głowy w katyńskim lesie, w chwili mordu zaczynał trzydziesty trzeci rok życia. Dokumentów i zdjęć po nim niewiele, rozrzuciła je wojenna tułaczka.

„...z meblami chyba nic nie da się zrobić, tak jak w spółdzielni chcieliby, bo ze składu im nie wydadzą, a tam możliwości nie ma naprawy dokonać. Zresztą, tak naprawdę, to podczas przeprowadzki znowu mogą się uszkodzić i wtedy naprawa byłaby na próżno, będą ją musieli zrobić już w naszym nowym mieszkaniu... No i chyba trzeba zrobić zapasy na zimę — miodu, masła, konfitur itepe, poradź się Mamusi, dobranoc, Ir...." — z ostatniego listu, datowanego 27.VIII.1939 r.

Meble do nowego mieszkania, zapasy na zimę — za osiem miesięcy nie będzie już żył. I stanie się AM 2929.

Na zdjęciu młody porucznik w galowym mundurze, białe rękawiczki, biały koń, jedzie na czele defiladowej kolumny. To podczas uroczystości 3 maja, opowiadała matka, a dlatego prowadzi defiladę, że był i prymusem Podchorążówki.

I przedostatnie już zdjęcie; młody mężczyzna i młoda kobieta właśnie mu poślubiona patrzą przed siebie z lekkim uśmiechem, mając nadzieję na długie, wspólne i szczęśliwe życie. Data na zdjęciu: 1937. Za trzy lata ten mężczyzna dostanie strzał w tył głowy.

Jaki on był, ten mój ojciec, AM 2929, którego nie zdążyłam poznać, a który zespolił się ze słowem Katyń i jest tak wszechobecny w moim całym życiu? W latach dziecinnych, gdy każde słowo matki o nim nizałam do swego różańca wiary i nadziei, był dla mnie moim własnym bogiem. Chciałam być taka jak on, mądra, dobra, szlachetna, uczciwa, wspaniała. Matka opowiadając o ojcu operowała tylko pomnikowymi przymiotnikami. Śmieszne: w latach dziecinnych i nie tylko, pisywałam do ojca długie listy, opowiadając mu o wszystkim, zwierzając mu się ze wszystkiego i zwracając się o rady w sprawach, jakie mi sprawiały trudności. Przez te listy był ciągle realny, ciągle żywy. Pomnikowe przymiotniki matki zaczęły mi jednak w miarę dorastania zawadzać, psuć realność mego ojca. Wyciągałam więc wiele razy na zwierzenia o ojcu mego wuja, który z ojcem się przyjaźnił i znał go dobrze. Ale i w wuja opowieściach ojciec jawił się jako pomnik. Denerwowałam się.

— *Nie o to mi chodzi, powiedz, jaki był?*

Któregoś dnia wuj uniósł się.

— *Więc tak, masz rację, twój ojciec wcale nie był taki!, twój ojciec był durniem! Wszyscy go zawsze naokoło kiwali! Niczego nie umiał dla siebie załatwić! Głupsi od niego wskakiwali na intratne stołki, a on, dureń z dyplomem prymusa, taplał się po błotach i robił pomiary! I wiesz, jaki on jeszcze był? Omijał ślimaki! Tak, omijał! Kiedyś poszliśmy na spacer do lasu. Było po deszczu, na leśnej drodze pełno ślimaków. A twój ojciec to drobi krok, to wydłuża, patrząc uważnie, aby broń Boże ślimaczka nie uszkodzić! Sama chciałaś....* — zmieszał się wuj, bo rozpłakałam się.

AM 2929, życiowa fujara, uważający nawet na ślimaki na drodze, nie pragnąłby zemsty, prosi natomiast o sprawiedliwość.

7.

„Morderstwo oficerów, obywateli polskich, jest sprawą polską i sprawą międzynarodową. Dopóki żyje choć jeden z zabójców, prawo nie może pozostać bezczynne i nie jest to żądanie zemsty, ale sprawiedliwości": Stanisław Podemski, „Polityka" '89.

Dopóki żyje choć jeden z zabójców — tak, spełnić wobec niego należy tę sprawiedliwość. To się należy nie tylko pomordowanym, ale i nam, żywym. Chciałabym zobaczyć twarz zabójcy. Jeśli takiego odnajdą, będzie miał twarz starą, pooraną zmarszczkami, wyblakłe oczy. Chciałabym usłyszeć nie tyle mowę prokuratora, ile słowo obrony oskarżonego. Może wreszcie usłyszałabym odpowiedź na to pytanie, jakie stawiam sobie sama od lat nieustannie; nie tylko przy okazji AM 2929; dlaczego człowiek człowiekowi? ludzie ludziom? Tragedia zbrodni człowieka nie zaczęła się od Katynia ani na nim, niestety, nie została zakończona. Ona trwa. *„Dzień w dzień — co wieczór, nasze ekrany wypełniają i zalewają obrazy i odgłosy nieszczęść ludzkich wydarzających się gdzie indziej: oglądamy spadające bomby, walące się domy, mordowanie i torturowanie ludzi z powodu pochodzenia, religii, przekonań, koloru skóry"*. Cały świat oglądał superzdjęcie biegnącej z krzykiem przez pustą ulicę, płonącej pochodnią wietnamskiej dziewczynki. Cały świat ogląda teraz setki tysięcy wyznawców Chomeiniego, umazanych krwią, krzyczących: *krwi!* Postawić pod ścianę piętnaście tysięcy rusków i bach! bach! — nienawiść, która nosi w sobie zalążek zbrodni kolejnej.

„Wartość życia pojmie, kto oceni różnicę — co dać może życie, a co można stracić w nim bezpowrotnie" — dedykacja z ostatniego, posiadanego przeze mnie zdjęcia ojca. Tymi słowami ofiarował swoją fotkę ukochanej kobiecie. Miał wtedy lat trzydzieści jeden, i nie wiedział, że za dwa lata umrze, zamordowany strzałem w tył głowy.

A ja tę dedykację ofiarowuję dziś młodemu małżeństwu z dzieckiem z cmentarza na Mani. I wszystkim tym, nad którymi wciąż krąży malowany ptak nienawiści.

EWA OSTROWSKA

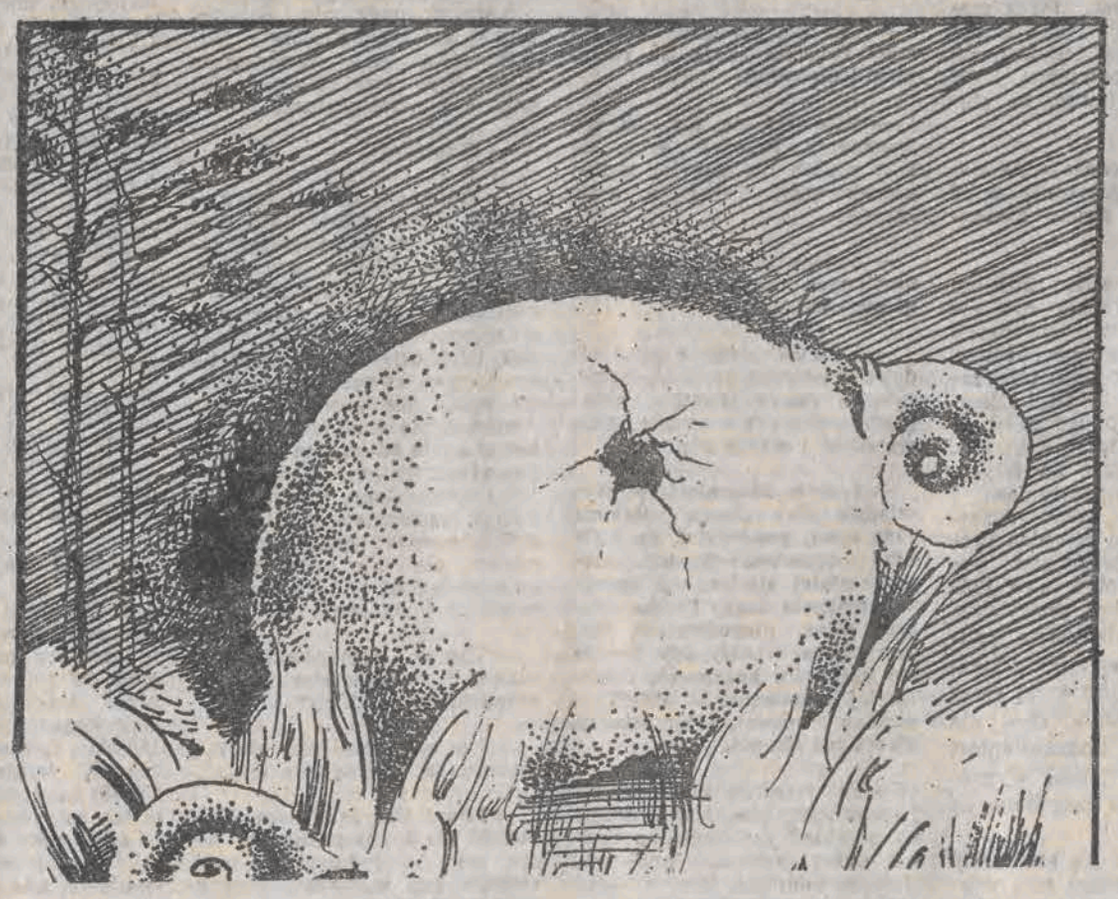

Rys. Dariusz Romanowicz